

The End of the Promise 約束の果て—黒と紫の国

Copyright © 2020 by Tetsuji Takaoka

Originally published in Japan by SHINCHOSHA Publishing Co., Ltd.

Polish edition published in agreement with Emily Books Agency LTD. and BookLab Agency.

All rights reserved. No part of this book may be used or reproduced in any manner whatever without written permission except in the case of brief quotations embodied in critical articles or reviews.

Polish Translation Copyright © 2024 by Wydawnictwo Yumeka

Tłumaczenie z języka japońskiego: Joanna Kaniewska

Copyright © for the Polish translation by Joanna Kaniewska, 2024

Redakcja: Karolina Przybył (Gabinet Słowa), Klaudia Czurka

Korekta: Alicja Konstantynowicz

Skład i opracowanie graficzne: Klaudia Czurka

Projekt okładki: Kornelia Wojdyło

Ilustracje wewnątrz: Shutterstock.com

ISBN: 978-83-967290-9-5 (oprawa miękka), 978-83-972813-0-1 (e-book)

Wydawnictwo Yumeka

ul. Piastów 9/143, 40-866 Katowice

www.yumeka.pl

www.instagram.com/wydawnictwo.yumeka

www.facebook.com/wydawnictwo.yumeka

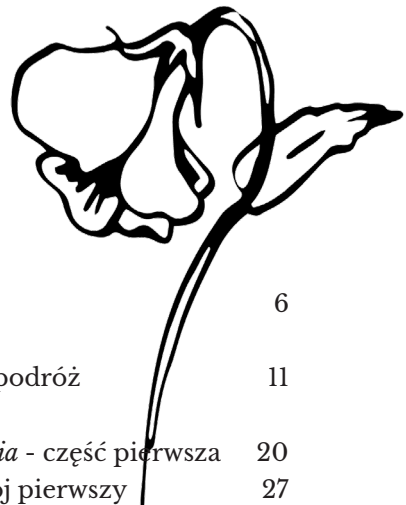
TETSUJI TAKAOKA

SPEŁNIONA OBIETNICA

Z japońskiego przełożyła
Joanna Kaniewska

Yumeka

Treści potencjalnie niepokojące: body horror.



Spis treści

Spis najważniejszych postaci	6
Rozdział pierwszy. Przed wyruszeniem w podróż	11
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część pierwsza</i>	20
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój pierwszy</i>	27
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część druga</i>	43
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój drugi</i>	56
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część trzecia</i>	64
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój trzeci</i>	73
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część czwarta</i>	88
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój czwarty</i>	96
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część piąta</i>	106
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój piąty</i>	115
Rozdział drugi. Stolica państwa Kuang	129
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część szósta</i>	139
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój szósty</i>	150
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część siódma</i>	156
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój siódmy</i>	165
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część ósma</i>	175
<i>Dziesięć kronik pokoleń boskich władców - zwój ósmy</i>	186
<i>Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - część dziewiąta</i>	202
Rozdział trzeci. Na granicy Wuzhou	213
Spełniona obietnica – krainy czerni i fioletu	225
Rozdział czwarty. Tak blisko	265
Rozdział ostatni. Czerni i fiolet	295
Posłowie od Tłumaczki	309



Spis najważniejszych postaci

Liang Qihe – badacz-archeolog, wyznaczony do badań nad brązową ozdobą w kształcie strzały, którą znaleziono w wykopaliskach na południowym krańcu Wuzhou.

Liang Siyuan – syn Qihe, nauczyciel w szkole powszechnej na wyspie Zhubai.

Tanabe Yukihiro – poznaje Siyuana, gdy przylatuje na wyspę Zhubai jako opiekun szkolnego koła dziennikarskiego.

Tanabe Naofumi – obecnie niezatrudniony, musi spełnić ostatnią wolę swego ojca Yukihiro.

Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa

Zhenqi – czterdziestotrzytysięczny dwusetny pierwszy syn cesarza kraju Kuang. Udał się do kraju Dienan, by odprawić w nim rytuał.

Yaohua – rządzi klanami Dienan.

Yanneng – minister kultury Dienan o niezwykle donośnym głosie.

Weifeng – główny generał Dienan o niezwykle szybkich ruchach.

Dadun – pierwszy cesarski książę Kuang. Jego domeną jest chciwość.

Shaoze – piąty cesarski książę Kuang. Jego domeną jest podejrzliwość.

Dziesięć kronik pokoleń boskich władców

Majiu – chudy i niski. Mieszka w jamach wydrążonych w nagiej skale wąwozu.

Poyu – głowa rodziny, do której należy Majiu. Wielbicielka dużych ilości alkoholu.

Yuji – człowiek handlu i przywódca kupieckiej karawany.

Zhijing – człowiek wiedzy i reprezentant bóstw ziemi, obdarzony złotymi oczami o podwójnych źrenicach.



Łąkę ogarnia wichura.

Czas, dotąd zatrzymany, znów zaczyna płynąć.

Przenikliwy wiatr uderza we mnie, po czym frunie dalej.

Chwilę później w powietrzu unoszą się fioletowe płatki porastających łąkę kwiatów.

Niezliczone płatki z potężnym szumem przesłaniają niebo niczym olbrzymie stado lecących razem szpaków, aż przed oczami nie mam nic prócz fioletu.

Kto wie, może kwitnące tu fiołki czekały na ten moment?

Rosną w tej ziemi już od pięciu tysięcy lat.

Z purpurą kwiatów miesza się czern.

To zapisane znaki.

Wiatr kruszy trzymany przeze mnie plik wyblakłych od starości kartek na tysiące strzępów. Zapisane na nich liczne słowa rozpadają się i tracą swe znaczenie – tworzące je znaki wymieszały się z płatkami.

Jak daleko wiatr poniesie te znaki, tę opowieść?

Dwa państwa, które w zamierzchłych czasach powstały na terenie Wuzhou. Ukryta pod pozorem pseudohistorii i fikcji prawdziwa historia Dienan i Kuang w końcu doczeka się zakończenia. Przyniosłem je ze sobą.

Długo trwała ta podróż.

Nie z powodu odległości.

Droga, którą właśnie przeszliśmy, mierzy zaledwie pięć metrów. Pokonanie tak małej odległości zajęło jednak pięć tysięcy i siedemdziesiąt lat.

Nic nie wskazuje na koniec zawiei.

Wręcz przeciwnie, przybiera jeszcze na sile, a fiołki zabarwiają niebo aż po najdalszy horyzont. Resztki kartek w mych rękach rozsypują się w proch i lecą śladem płatków.

Czerń tańczy na wietrze w objęciach fioletu.

Widok ten stworzyła pełna nieszczęść historia dwójki, która rządziła Kuang i Dienan. Próbuję spleść ścieżki, które ich tu przywiodły, w jedną opowieść. Jeśli ja odpowiadam za jej koniec, być może on jest jej początkiem.

Jako pierwszy podążył za nią archeolog z Wuzhou, Liang Qihe.

Rozdział pierwszy
Przed wyruszeniem w podróż



W ustach poczuł smak ziemi.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że się wyrócił.

– I po co robić rzeczy, w których nie ma się wprawy – mruknął do siebie Qihe Liang.

Kiedy właściwie ostatnio biegł ile sił w nogach? Jak się nad tym zastanowić, nie uprawiał niczego, co można by nazwać sportem, odkąd rozpoczął pracę w Instytucie Nauk Wuzhou. Po kimś takim naprawdę nie można oczekiwać, że będzie w stanie gdzieś pobiec.

Zwłaszcza gdy jest tak ciemno.

Wciąż leżąc na boku, Qihe sięgnął prawą ręką do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Upewnił się, że wyczuwa w niej twardość metalu, po czym odetchnął z ulgą.

Równocześnie pomyślał, że może jednak byłoby łatwiej, gdyby go zgubił.

Zabierając ten stary artefakt z brązu, właściwie skazuje się na utratę posady w Wydziale Archeologii Instytutu Nauk, na którą tak ciężko pracował. W ten sposób przysporzy kłopotów nie tylko sobie, lecz także swojej żonie i małej synkowi. A mimo to...

Qihe potrząsnął głową w ciemności.

Nie mógł pozwolić na to, by dziekan wykorzystał artefakt do zaspokojenia własnej próżności. Nie chodziło przy tym o emocje – był po prostu święcie przekonany, że byłoby to błędem. Do tego, niestety, wszystko wskazywało na to, że tylko on sam może temu błędowi zapobiec.

– Nawet nie ma o czym myśleć.

Qihe oparł obie ręce o ziemię i podźwignął górną część ciała do góry.

Minie jeszcze trochę czasu, nim ktokolwiek odkryje zniknięcie artefaktu z podziemnego magazynu. Z powodu wojny domowej na wydziale brakuje ludzi, przez co

dziekan przydzielił zarządzanie zebranymi wykopaliskami właśnie jemu. Nieostrożny głupek, zupełnie niczego nie podejrzewał.

Zanim ktoś coś zauważy, musi uciec z rodziną w bezpieczne miejsce.

– Gdzieś tu powinien być chodnik.

Qihe otrzepał kurz z kolan i wpatrując się w majaczący w ciemności koniec chodnika, pobiegł przed siebie ze wszystkich sił.

*

Wszystko zaczęło się mniej więcej miesiąc wcześniej.

Qihe czuł się całkiem zagubiony.

Na biurku piętrzyły się powieści i wątpliwej jakości książki historyczne. Gdyby przebywał w tej chwili gdzie indziej, na przykład w antykwariacie przy jednej z wielu miejskich uliczek, nie widziałby w tym problemu. Jednakże w Instytucie Nauk, centrum akademickiego życia Wuzhou, widok takiego zbioru budził pewne zakłopotanie, tym bardziej, że najwyraźniej miał służyć za teksty źródłowe.

Wyczerpany Qihe leżał na biurku i wpatrywał się w zdjęcie brązowego artefaktu. Znaleziono go pół roku wcześniej, w wykopaliskach na południowym krańcu Wuzhou, w prowincji Sanshi. Był to dodatek do odzieży wyrzeźbiony w kształcie strzały, a mała obręcz u nasady wskazywała, że można było go nosić jako wisior.

Brązowa strzała, która przyfrunęła tu z odmetów historii, spędzała Qihe sen z powiek.

Samo wydobycie akcesoriów w kształcie broni nie jest wcale dziwne. W starożytnym Wuzhou tego rodzaju dodatki nie były wyłącznie ozdobami, lecz miały również

znaczenie magiczne. Chroniące przed złem amulety w kształcie mieczy, biżuteria z motywem potworów, których zadaniem było przeganianie duchów, lub też ozdoby w przeróżnych, na pierwszy rzut oka nieodpowiednich do noszenia na ciele kształtach – w wykopaliskach pojawiało się wiele tego rodzaju dodatków.

Problemem okazała się ozdabiająca wisior inskrypcja. Malutkimi znakami wyryto na nim następujące zdanie:

Oto dar dla szanownej Yaohuy z kraju Dienan: strzała zrobiona przez Majiu z kraju Kuang. Choć nie jest to godny wyrób, błaga ją usilnie, by nie odrzuciła tego skromnego daru.

Innymi słowy, niejaki Majiu z państwa zwanego Kuang ofiarował Yaohle z państwa Dienan tę oto zwyczajną strzałę i prosił o przyjęcie daru. Inskrypcja świadczyła o tym, że ozdobę wręczono w celu nawiązania przyjaznych relacji, co samo w sobie nie wzbudziłoby większego zainteresowania.

A mimo to Qihe jęknął, wpatrując się w wyrytą na strzale inskrypcję.

– Gdzie się znajdują te całe Kuang i Dienan?

W starożytnym Wuzhou słowo „kraj” bardzo rzadko oznaczało państwo we współczesnym rozumieniu. Dotyczyło raczej zbrojnych miast z zewnętrznymi murami. Zapisane na artefakcie nazwy Kuang i Dienan nie odnosiły się zatem do dynastii, które miałyby się połączyć, lecz do częstej sytuacji, w której dwa miasta decydowały się wspólnie stworzyć większe megalopolis.

Jeśli jednak w Dienan i Kuang poziom rozwoju cywilizacji pozwalał na wytworzenie podobnego przedmiotu, to przynajmniej jedno z tych państw powinno zostać uwiecznione w źródłach historycznych. A tymczasem, ile znalezionych

w wykopaliskach starożytnych tekstów i zbiorów legend by nie przeglądał, nigdzie takich nazw nie znajdował.

Kraje o nazwach Kuang i Dienan nie istniały na kartach historii.

Gdy jednak Qihe złożył raport z badań dziekanowi... ten wręcz podskoczył z radości.

W zwyczajnych okolicznościach nieobecność wyrytych nazw w wiarygodnych źródłach historycznych wywołałaby wątpliwości co do autentyczności znalezionych w wykopaliskach przedmiotów. Dziekan jednak beztrąsko przedstawił następujący wniosek:

– Jeśli tych nazw nie ma w źródłach, odnoszą się do dynastii starszych niż zgromadzone teksty, czyż nie? – Na tym nie poprzestawszy, zwrócił się do Qihe, któremu oczywiście zabrakło słów. – Ten właśnie wisior z brązu stanowi boski znak, iż to my jesteśmy prawowitymi spadkobiercami Wuzhou. Nie ma wątpliwości, że to omen, reprezentacja mandatu niebios dla cynobrowo-białych, dowód, że Wuzhou powstało na ziemiach kontrolowanych przez Armię Zhubai... – perorował, plując przy tym śliną.

Dziekan jest literackim aktywistą, podczas ostatniej wojny światowej zyskał sobie sławę jako agitator ludu. Pisane przez niego sensacyjne manifesty wysłały na front dziesiątki tysięcy młodych ludzi. Stanowisko na uczelni przyznano mu jako nagrodę, tytuł honorowy. On sam nie ma w sobie nawet krzty zainteresowania archeologią.

Widząc poczerwieniałą z ekscytacji twarz przełożonego, Qihe mruknął pod nosem:

– Powiedziałbym raczej, że ten wisior to przeklęty zwiastun nieszczęść...

W tym samym czasie, gdy wydobyto strzałę, w Wuzhou wybuchła wojna domowa między północą i południem.

Walka o koncesje związane z odbudową po wojnie światowej doprowadziła te dwie frakcje do zbrojnego konfliktu.

Retoryka dziekana zapewne miała doprowadzić go do odzyskania dawnej chwały. Krył się za nią następujący plan: przedstawić odkrycie strzały jako rewolucję w dziedzinie historii Wuzhou, zrobić z niego prezent dla władzy i awansować aż na stanowisko w kierownictwie Biura Narodowego Oświecenia Armii Zhubai.

Artefakt był dla niego wyłącznie narzędziem do rozpalenia opinii publicznej. Bez wątpienia już widział oczami duszy, jak tworzy z niego pomnik narodowej ekspansji przy radosnych okrzykach ludu.

– Ależ panie dziekanie – wyraził sprzeciw Qihe. – Jeśli odkrycie państw Kuang i Dienan miałoby doprowadzić do reformy chronologii Wuzhou, musimy najpierw je zweryfikować. Wzmianka na pojedynczym artefakcie to zbyt słaba podstawa do naukowej argumentacji. Musimy przynajmniej spróbować odtworzyć charakter tych miejsc na podstawie pism historycznych.

Przez długie lata swego istnienia Wuzhou pozostawiło za sobą wiele pisemnych źródeł. Zanim w Europie rozprószechniła się technologia drukarska, mniej więcej siedemdziesiąt procent wszystkich spisanych tekstów pochodziło właśnie z tego kraju. Dlatego też studia historyczne w Wuzhou polegały ni mniej, ni więcej na odczytywaniu i analizie tych właśnie pism.

Tradycja ta przetrwała do współczesności. Badania archeologiczne w Wuzhou były wyjątkowo skoncentrowane na studiowaniu historycznych pism. Jeśli czegoś nie dało się znaleźć w źródłach pisemnych, oznaczało to, że to coś nie istniało.

– W takim razie wystarczy je znaleźć – oznajmił dziekan tak swobodnie, jakby mówił o pogodzie, po czym

odwrócił się do oniemiałego Qihe. – Co za tępota. – Westchnął. – Mówię, że odszukanie tych podstaw, czy co to tam było, to twoja robota. Jeśli masz dość czasu, by stać tutaj i wyszukiwać sobie wymówki, dlaczego nie zaszyciesz się w bibliotece?

Na swoje nieszczęście, Qihe odszukał te podstawy.

Po rozmowie z dziekanem zamknął się w bibliotece Wydziału Archeologii i spędził dwa miesiące na nieprzerwanej pracy z historycznymi pismami. Nazwy „Kuang” i „Dienan” znalazł w dwóch tekstach. Były to: *Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa* i *Dziesięć kronik pokoleń boskich władców*.

Nie wiadomo, kto opracował *Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa*. Przyjmuje się jednak, że tekst powstał w środkowym okresie ery Suqian (1425–1639). Opisuje on historię krajów, które rozwijały się na południu prowincji Zhu, od stworzenia nieba i ziemi aż po czasy starożytne. Podobno miał stanowić okraszona folklorem wersję starożytnego tekstu, ale tytuł rzekomego źródła nie pojawia się w innych pismach historycznych. W rzeczywistości *Opowieść o Cynobrowych Królestwach Południa* to rozrywkowa powieść, czy raczej zbiór opowiadań, z których większość stanowią stare podania z południa Zhu.

Drugi tekst, *Dziesięć kronik pokoleń boskich władców*, to antologia Zhuxian (1528–1601) opisująca rządy władców panujących na terenie Wuzhou w czasach starożytnych i średnio-wiecznych. Pełna dziwacznych i niesamowitych opowieści pseudohistoryczna książka nie zawiera w sobie nic, co można by uznać za fakt. Nawet ktoś, kto chciałby podejść do niej z przychylnością, musiałby ją uznać za co najmniej ekscentryczną. Każde jej wydanie znacząco różni się od pozostałych, co być może wynika z rozszerzania oryginalnego

tekstu o legendy i mity z obszarów, w których ją sprzedawano. Biblioteka Wydziału Archeologii Instytutu Nauk posiada w swych zbiorach wiele wydań *Dziesięciu kronik*, ale kraj o nazwie Kuang pojawił się wyłącznie w jednym z nich.

Mówiąc krótko: obie te pozycje to dzieła fikcyjne.

A jednak artefakt z brązu bez wątpienia istnieje naprawdę. Sprawdzając ponownie wszystkie fakty na temat jego wydobywania, Qihe ustalił, że nadzór nad wykopaliskami prowadził starszy od niego stażem archeolog, który studiował nowoczesne naukowe metody wydobywcze w Europie. Ustalił on, że ozdoba w kształcie strzały faktycznie została wykuta jeszcze w starożytności. Przynajmniej znalezisko nie okazało się pamiątką o wątpiwej wartości. Przypuszczenia dziekana nie były więc zupełnie bezpodstawne, co tylko pogłębiło niepokój Qihe.

Dlaczego państwa Kuang i Dienan nie zostały uwiecznione w oficjalnych materiałach historycznych? Czemu pojawiają się tylko w pseudohistorycznych opowiadaniach?

Nie może jednak roztrząsać tych pytań w nieskończoność. Materiały, w których spodziewał się znaleźć odpowiedzi, leżą tuż obok.

Gdy ma się wątpiwości odnośnie do ksiąg, wyjaśnień najpierw należy poszukać w innych księgach. To podstawowa zasada pracy z każdym źródłem pisanym, której Qihe, jako archeolog, musi przestrzegać. Bez uważnej lektury materiałów źródłowych nie można zacząć badań, nawet jeśli okazują się one zupełnie nieprzystającą do archeologicznych zbiorów Wuzhou, napisaną kolokwialnym językiem literaturą popularną.

Kuang i Dienan. Co to właściwie są za kraje?

Qihe sięgnął po fikcję, by odkryć historyczną prawdę. Księga, którą chwycił jako pierwszą, to...

Opowieści o Cynobrowych Królestwach Południa - Dienan

Część pierwsza

Na początku był chaos – *ming zhao men an**, światło i mrok splecione razem, nie do odróżnienia. Z chaosu wynurzyły się niebo i ziemia, rozpoczynając pierwszą epokę w historii tego świata.

Przez krótki okres ziemia gotowała się niczym bulion, lecz z upływem czasu stopniowo stygła i twardniała. Całkowity spokój zapanował wpierw na położonej w głębi lądu Huang Yang, Żółtej Równinie. Później ukształtowały się krainy: Qing – Cyjanowa, Zhu – Cynobrowa, Bai – Biała i Xuan – Czarna. Razem tworzyły Pięć Krain, Wuzhou. Tam, gdzie ziemia twardniała, pojawiały się bóstwa ziemi.

*Fraza *ming zhao men an* (冥昭瞢暗, czyt. japońskie: *meishō bōan*) pochodzi z chińskiego poematu *Tian wen* („Pytania do niebios”), który znamy jako część antologii Chu Ci, zebranej w II w. p. n. e. Całość wersu brzmi: 冥昭瞢暗，誰能極之，co można przetłumaczyć jako: „Gdy światło i mrok są ze sobą splątane, kto może je rozróżnić?”. (Wszystkie przypisy pochodzą od Tłumaczkii).

Bóstwa ziemi pokryły całe Wuzhou siecią królewskich dróg, by móc wszędzie skutecznie sprawować swoje rządy. Krążąc po ukończonych drogach, wytyczały tor rzekom, powoływały do życia pełzające po ziemi owady i przyozdabiały pola kwiatami. Jednakże rządziły one całą ziemią i nie zwykły zawracać sobie głowy drobiazgami w rodzaju kwiatów czy owadów. Dlatego też zrodziły bóstwa wiedzy – byty mające im w tym pomóc.

Oznacza to zatem, że powszechna opinia o cesarzu Ma jako budowniczym królewskich dróg jest błędna. Powinno się raczej mówić, iż utrzymuje i naprawia on drogi, po których bóstwa krążyły u zarania dziejów.

Tak czy owak, sieć królewskich dróg obejmuje Pięć Krain, nie łączy się więc z ziemiami poza nimi. Dienan położone jest poza Wuzhou – innymi słowami jest to kraj barbarzyński – dlatego też nie sposób tam dotrzeć drogą wykładaną kamieniami, lecz należy udać się szlakiem z ubitej ziemi. Właściwie była to bardziej wydeptana w zaroślach ścieżka dzikiej zwierzyny.

Pojedyncza nitka jasnej zieleni w ciągnących się po horyzont malachitowych trawach.

Po drodze łączącej Wuzhou z Dienan przesuwają się niezliczone czarne punkty. To, co na tle traw wyglądało jak kropki, z bliska okazało się ludzkimi głowami. Idący mieli na nich hełmy z połączonych ze sobą połyskujących na czarno blach, nosili również czarne pasy.

Kruczoczarne zbroje to znak rozpoznawczy żołnierzy kraju Kuang. Było ich setki, a na twarzy każdego z nich malowało się cierpienie. Zagryzali jednak zęby i szli dalej przed siebie.

Dienan odznaczało się gorącym klimatem.

Choć Kuang rządziło wszystkimi krainami Wuzhou, nie znało typowego dla Dienan upału. Na nieszczęście dla żołnierzy oficjalnym kolorem ich kraju była czerni. Wystawione na promienie słońca smoliste zbroje nagrzewały się tak, że parzyły przy najmniejszym dotknięciu.

Nie tylko dlatego ten pochód był niezwykły. Oprócz rytmicznego kroku piechurów, rozbrzmiewał on również dźwiękami fletu. Wśród idących można było dostrzec muzyków, ale grana przez nich melodia wydawała się zbyt wyrafinowana jak na coś, co miałoby pomóc w umacnianiu morale armii.

Musiała zatem być przeznaczona dla ucha arystokraty.

Żołnierze eskortowali bowiem ogromną basternę, która z wolna sunęła naprzód. Cztery konie nie ciągnęły za sobą powozu, lecz niosły na swych grzbietach wielki palankin. Okna połyskującej w słońcu, pomalowanej atramentową czernią lektyki były szczelnie zamknięte, tak że nikt nie zdołałby nawet rzucić okiem do środka.

Na czele długiej kolumny jechał samotny rydwan.

Imię jadącego nim oficera nie zachowało się w historii, podobnie jak imiona reszty żołnierzy. Powierzono mu dowództwo nad całym pochodem, przede wszystkim zaś miał dbać o bezpieczeństwo wysoko urodzonego pasażera. Z pewnością było to zadanie, podczas którego nie można nawet na chwilę spuścić gardy.

W pewnej chwili oficer przetarł oczy.

Nie wiedząc, czy może zaufać swojemu wzrokowi, wychylił się do przodu. Upewniwszy się, że oczy go nie mylą, przekrzywił w zdziwieniu głowę i stuknął lekko woźnicę pięścią.

Rydwan zwolnił tempo, aż w końcu całkiem się zatrzymał. Sunąca za nimi basterna i strzegący jej żołnierze również

stanęli, a towarzyszący im muzycy odjęli flety od ust. Cały orszak znieruchomiał, a na łąki Dienan powróciła cisza.

Na środku drogi stała bowiem młoda panna.

Sama jedna, w polu, które sięgało aż po horyzont.

Dowódca kolumny zwrócił się do niej słowami:

– Zejdź nam z drogi.

Zwyczajowo w kraju Kuang skazywano każdego, kto śmiał stanąć na drodze arystokracji, bez żadnego słownego ostrzeżenia. Nigdy nie wiadomo – ta młódka może mieć rozmaite złe zamiary. Dowódca musiał zachować czujność.

Tymczasem dziewczyna nie zareagowała na słowa oficera i nadal stała na drodze.

Mężczyźnie przyszło na myśl, że być może nie znała języka, jakim mówiono w państwie Kuang, powtórzył więc:

– Powiedziałem, że masz zejść z drogi. – Dodatkowo gestem pokazał, że każe jej się odsunąć.

Zagadnięta sama odpowiedziała pytaniem:

– Proszę pana, przyjechał pan może z kraju Kuang?

Nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Skoro dziewczyna potrafiła rozpoznać żołnierzy Kuang po zbroi, mogła być córką kogoś o znaczącej pozycji. Powinna zatem wiedzieć, jak niebezpiecznie jest stawać tej armii na drodze.

– Jeśli jesteśmy żołnierzami Kuang, co się stanie, jeśli nas nie przepuścisz? – odparował dowódca i wycelował w nią czubek włóczni, jak gdyby jej grożąc.

Dziewczyna jednak wcale się nie przestraszyła, za to zwróciła się do oficera z promienną miną:

– Czyli faktycznie jesteście z Kuang. Ja wyszłam przywitać dostojnego Zhenqiego, a pana co tu sprowadza?

Dowódca zaniemówił.

Zhenqi to imię członka rodziny cesarskiej eskortowanego do Dienan przez kolumnę wojska. Nikt jednakże nie miał

prawa wymawiać prawdziwego imienia kogokolwiek z cesarskiego rodu bezkarnie. Zaledwie kilka osób, w tym sam dowódca, wiedziało w ogóle, kto jest pasażerem basterny.

– A jednak coś knujesz – mruknął pod nosem oficer i obiema rękami mocno ścisnął włócznię.

W tej chwili zza jego pleców rozbrzmiał głos:

– Wybacz nam, że musiaś się kłopotać, młoda damo. Jam jest Zhenqi, czterdziestotrzytysięczny dwusetny pierwszy syn cesarza Ma, władcy kraju Kuang.

Za oficerem stał sam Zhenqi, który zdążył już wysiąść z palankinu. Zaskoczony dowódca zsunął się z rydwanu i padł przed nim na twarz.

Syn cesarza Kuang, Zhenqi, okazał się chłopcem.

Wyglądał na mniej więcej tyle samo lat co dziewczyna, która zatrzymała przemarsz. Nefryty zdobiące jego czarne niczym atrament szaty przepięknie lśniły w promieniach słońca. Na głowie chłopiec miał za duży *mianguan** zasłaniający mu całe czoło aż do brwi.

Dziewczyna odwróciła się w stronę Zhenqiego i się przedstawiła, jakby naśladując jego sposób wypowiedzi:

– Jestem pierwszą córką Yaohuy z Dienan i wysłałam cesarskiemu synowi na powitanie.

Oficer całkiem już stracił mowę.

Yaohua z Dienan – tak nazywała się kwietna królowa tego kraju. Zamiast osobiście przywitać syna cesarza Ma, wysłała w tym celu swą niezwykle młodą córkę.

Zhenqi zignorował oficera krzywiącego się na przekraczające wszelkie oczekiwania zwyczajnie Dienan. Zwróciwszy się w stronę dziewczyny, bez wahania powiedział:

**Mianguan* (jap. *benkan*) to dalekowschodni rodzaj korony, noszony przez arystokrację i monarchów m. in. w Chinach, Japonii, Korei i Wietnamie. Przypomina nieco amerykańską czapkę absolwentów, z tym że do daszka z dwóch stron przyszyte są sznury klejnotów.

– Poprowadź mnie zatem do stolicy Dienan, o dostojna córko Yaohuy. – Kierując słowa do dowódcy i jego oddziału, dodał: – To był wielki zaszczyt przebyć tę drogę z wami. Gdy wrócicie do stolicy, poinformujcie mych braci, że dotarłem bezpiecznie do Dienan.

W ten sposób Zhenqi dał do zrozumienia, że nie potrzebuje już ich eskorty.

Oficer nie mógł się na coś takiego zgodzić bez protestu.

– Z całym szacunkiem, proszę o wybaczenie mi imperytynencji. Jednakże znajdujemy się w dzikich krainach i nie wiemy, jakie mogą kryć się tu niebezpieczeństwa. Eskorta będzie szanownemu księciu towarzyszyć aż do stolicy Dienan.

Słyszając to, Zhenqi się roześmiał i rzekł:

– Mówimy o drodze, którą przebyła ta oto dziewczynka. Jakież mogą kryć się tu niebezpieczeństwa?

Oficerowi nie przysłała do głowy żadna rozsądna odpowiedź.

Wydał więc rozkaz woźnicy, by zawrócił konie. Żołnierze Kuang odjechali z powrotem na północ przy akompaniamencie brzęczącego rynsztunku.

Zhenqi wytężył słuch i odczekał, aż dźwięk ten zupełnie ucichnie, po czym powiedział do dziewczyny:

– Zaprowadź mnie więc do stolicy Dienan.

– To chodźmy. Jak zaczniemy iść teraz, powinniśmy tam dotrzeć przed zachodem.

Słońce nie sięgnęło jeszcze nawet zenitu na niebie.

– Mówisz, że będziemy iść? – zapytał Zhenqi podniesionym, jak można się było spodziewać, głosem. – Nie masz powozu ani lektyki?

– Skąd takie zdziwienie? Czyżby syn cesarza nie umiał chodzić?

- Umiem, ale...
- W takim razie to żaden problem. Do królewskiego pałacu idzie się tędy.

Dziewczyna wzięła Zhenqiego za rękę.

Zaskoczony tym gestem chłopiec zeszywniał na całym ciele, przypomniał sobie jednak, że ma do czynienia z dziewczyną w swoim wieku. Dopasował więc krok do jej kroku i pozwolił się poprowadzić.

We dwójkę rozpoczęli marsz przez trawiastą równinę dzielącą Kuang i Dienan.

Nie wiadomo skąd rozległ się głos przypominający okrzyk bażanta.

Dziewczyna uniosła głowę w poszukiwaniu ptaka. Nie znalazła go, w jej oczach odbijały się wyłącznie bezkresne łąki. Biegająca przez nie jasnozielona ścieżka ciągnęła się aż po sam horyzont, mieszając się z błękitem nieba.

Cel wędrowni znajdował się daleko przed nimi.

Żadne z dwojga dzieci nie mogło wiedzieć, co je czeka na końcu drogi.

Dziesięć kronik pokoleń boskich władców
- Cesarz Ma

Zwój pierwszy

Każdy, kto urodził się w Wuzhou, zna imię cesarza Ma. Nawet jeśli jest to robak, który nigdy nie doświadczył słonecznego świata, lub jętką, co żyje zaledwie jeden dzień. Kto objął władzę nad całym Wuzhou, kto jest królem wśród królów? Nie ma nikogo w Pięciu Krainach, kto nie znałby odpowiedzi na to pytanie.

Jak wyglądał cesarz Ma?

Gdyby znalazł się krętacz udający, że wie, należy mu wy-rwać język. Nikt bowiem nie znajdzie tej wiedzy w pradawnych pismach ani w podaniach przekazywanych przez starców. Podobnie można szukać w nieskończoność ludzi, co widzieli bóstwa ziemi, lecz nigdy się ich nie znajdzie.

Poza starym głupcem piszącym te słowa nie uchował się nikt, kto by to wiedział.

Podobnie nie ma już w Wuzhou nikogo, kto umiałby oddać sprawiedliwość osiągnięciom wielkiego cesarstwa Kuang. A to jest bardzo niepokojące. Nawet ci, co uważają,

że wiedzą co nieco o historii, nie umieją należycie ocenić tego wybitnego władcy.

Niektórzy nazywają cesarza szalonym królem.

Lecz i taka krótkowzroczność była niezwykle rzadka. Kto urodził się w Pięciu Krainach, kto miał okazję postawić stopę na tych ziemiach, musiał oddać cześć temu wielkiemu władcy. Zbudował on podwaliny pod wszystko, co się na nich znajduje.

Zatem, jak się okazuje, stary głupiec musi wziąć pióro i wszystko wyjaśnić samemu. Jeśli chcecie poznać prawdziwe oblicze bóstw ziemi... Jeśli pragniecie ujrzeć cesarza Ma, czytajcie dalej.

Nie sposób jednak wyjawić wszystkiego od razu. Skoro trzeba wyszarpać z ziemi ukryte dotąd zasługi cesarza i wystawić je na światło dzienne, należy zrobić to zgodnie z wolą bóstw Kuang. Jeśli ta rola przypadła takiemu staremu głupcowi jak ja, niech tak będzie.

Zgodnie z boskim prawem i porządkiem opowieść należy zacząć od początku i prowadzić ją aż do końca.

Historię życia cesarza Ma trzeba zacząć od chłopca o imieniu Majiu.

Przedmowa starego głupca

Działo się to już po tym, jak powstał świat, lecz przed nadejściem starożytności. Miejsce akcji – północny kraniec Czarnej Krainy Xuan. Tam Majiu urodził się jako członek bezimiennego rodu, którego głową była stara Poyu.

Nie da się do końca rozstrzygnąć, czy Majiu był rodzonym synem Poyu. Pewnym jest to, że Poyu wszystkich w rodzie nazywała swymi dziećmi. Być może w ten sposób zapewniała sobie posłuszne wykonywanie swych okrutnych

rozkazów. To oczywiste, że dziecko musi słuchać się słów swej matki. Naturalnie możliwe jest też, że Poyu faktycznie spłodziła wszystkich członków rodu.

Majiu był chudy i niski, skórę zaś miał ciemną. Z natury był – trzeba to przyznać – ociężały. Rzadko zdradzał się z tym, co myśli, a i mimikę miał ograniczoną, przez co wyglądał na zwykłego głupka. Ale też nie był w tym osamotniony, wszyscy jego pobratymcy odznaczał się bowiem podobnym usposobieniem. Całe ich życie składało się z wykonywania rozkazów Poyu, bez choćby chwili na jedną własną myśl.

Życie tępego rodu pod władzą Poyu nie różniło się zbyt wiele od życia dzikich zwierząt. Mieszkał on na zboczu wąwozu, w wrytych w gołej skale jamach. Krótką egzystencję jego członków podtrzymywały zebrane w dziczy owoce i mięso upolowanych zwierząt.

Na ścieżkę prowadzącą do objęcia władzy w Wuzhou Majiu wstąpił w wieku trzynastu lat.

Stało się to późną jesienią, gdy zebrano już prawie wszystkie żołędzie opadłe z okolicznych dębów.

– Wyruszam na Święto Wina i Łuku. Idziesz ze mną – rozkazała zniecka Poyu.

Majiu pokiwał głową, choć nie wiedział, czym właściwie miałyby być to święta. Nie miał bowiem w zwyczaju kwestionować jej słów.

Tak oto Poyu i jej piątka dzieci – w tym Majiu – opuścili jamy. Mówi się jeszcze, że imiona pozostałej czwórki to: Masan, Maqi, Masanshier i Maliushiwu.

Grupa podróżników znikła wśród surowych gór, udając się prosto na południe. Po paru dniach przypominające twierdzę, strome skalne ściany, które dotąd ich otaczały, zmieniły się w łagodne wzniesienia.

Minęło jeszcze kilka dni, po czym przed Majiu otworzył się zupełnie nowy widok.

Łagodnie pofalowany step rozciągał się we wszystkie strony, a jego jedynym widocznym końcem była cienka linia oddzielająca ziemię od nieba. Choć był to pusty i porywany teren, porosły wyłącznie niskimi trawami, Majiu zapamiętał zaskoczenie, jakie go ogarnęło, gdy na własne oczy zobaczył tak rozległą przestrzeń.

Gdy zeszli na równinę, Poyu zrobiła się niespokojna i zaczęła rozglądać się wokół siebie. Majiu uznał to za podejrzane, sam więc zaczął obserwować okolicę. Dostrzegł wtedy nieznanne mu stworzenia przemierzające step.

My nazywamy je końmi.

Zwierzęta miały torsy przewiązane skórzanymi pasami i ciągnęły za sobą wozy.

Poyu zwróciła się w ich stronę i mocno machając ramionami, krzyknęła:

– Yuji, ja tu czekam!

Jadący pierwszym powozem mężczyzna skierował twarz w jej stronę, potrząsając przy tym długą do piersi brodą. Z głośnym trzaskiem trzymany w rękach wodzy zawrócił konia. Cała karawana podążyła jego śladem.

– Yuji służycie wam, czym tylko zapragniecie – odpowiedział melodyjnie na zawołanie Poyu, jak gdyby śpiewając piosenkę. – Gorzałka, solone mięso, pasta z owoców morza. Wystarczy powiedzieć.

W tamtych czasach Wuzhou zamieszkiwało wielu ludzi jak on, którzy nie mieli stałego domu i utrzymywali się z wędrownego handlu.

Majiu pierwszy raz spotkał inny klan niż swój własny, nie czerpał jednak z tego spotkania przyjemności. Przyklejony do twarzy Yujiego uśmiech być może należał do zwyczajów

ludzi handlu, syn staruchy uważał go jednak za dziwny i nieprzyjazny.

To właśnie karawany Yujiego tak usilnie wypatrywała Poyu po zejściu na równinę. Podbiegła do wozów i zaczęła szperać w przywiezionych towarach.

– Jak to? Nie macie więcej gorzałki? Chyba macie trochę braki w zapasach? – narzekała, nie przerywając poszukiwań aż do momentu, gdy nie mogła pomieścić znalezionej żywności w ramionach. Wtedy z zadowoloną miną rzekła: – Oto twoja zapłata. – Wręczyła handlarzowi sakiewkę.

Yuji rozsypał zawiązany sznur mieszka i wysypał na dłoń jego zawartość.

– Cóż za wspaniały okaz! – Chwycił coś w dwa palce i zbliżył do oka.

Przedmiot, któremu Yuji tak się przyglądał, okazał się... kamykiem.

Majiu wytrzeszczył oczy. W zamian za żywność Poyu oddała coś całkowicie bezużytecznego. Takie jasnozielone kamienie można było znaleźć podczas kopania, gdy poszerzało się rodzinne jamy. Dzieci Poyu zupełnie nie zwracały na nie uwagi, sama staruszka zaś chowała je w pośpiechu do wewnętrznych kieszeni swej szaty.

Nadmiar niezrozumiałych zdarzeń całkiem popsuł Majiu humor. Dlaczego w zamian za zaspokajającą głód żywność wymienia się kamyki, co nie mają żadnego zastosowania? Czemu ten cały Yuji tak wpatruje się w kamień, a z jego twarzy nie schodzi wyraz ekstazy?

– Serdecznie polecam się na przyszłość! – Handlarz znów odwrócił swą twarz z przyklejonym uśmiechem, po czym popędził konie w głąb stepu.

Nawet gdy zniknął im z oczu, chłopiec wciąż odczuwał w trzewiach dyskomfort. Przypominał on utrzymujący się ból po chorobie żołądka.

To nie był koniec podróży Majiu.

Każdego dnia otaczał go coraz to inny krajobraz. Mięka ziemia, w której zapadały się stopy, ustąpiła pola twarde-
mu gruntowi pokrytemu krótką trawą lalang. Z kolejnymi dniami trawa stawała się coraz mniej zielona, niczym podczas zmiany pór roku. Nie wiewała jednak, lecz falowała na wietrze, mieniając się odcieniami złota.

Tak oto chłopiec wkroczył do kryjącej się w sercu Wuzhou krainy znanej jako Huang Yang – Żółta Równina.

Gdy znaleźli się na obrzeżach tego wyjątkowego obszaru, idąca na czele Poyu przybrała poważny wyraz twarzy. Szli dalej przed siebie, nie mówiąc wiele. W oddali widać było inną grupę, torującą sobie drogę przez trawy. Przed nimi zaś można było dostrzec liczne kręcące się sylwetki.

Poyu też je dostrzegła.

– Oj nie, nie, nie, tym razem wszystko jest wyjątkowo daleko – stwierdziła, masując sobie biodra, jak gdyby w zmęczeniu.

W ten sposób Majiu dowiedział się, że dotarli na tajemnicze Święto Wina i Łuku.

Pośród złotych traw rozstawiono liczne namioty i pawilony. Z jakiegoś powodu nie wszystkie miały ten sam kształt. Niektóre wznosiły się wysoko niczym małe góry, można było też dostrzec takie, które były długie i wąskie. Majiu miał przejść obok jednego z nich, lecz nagle się zatrzymał.

Zasłona okrywająca wejście do namiotu została podwinięta, a widoczny w środku człowiek wyglądał... osobliwie. Całe ciało miał okryte czarną, gęstą łuską, z pleców zaś wystawało mu coś, co przypominało kolce.

Nie on jeden wyróżniał się wyglądem. Rozglądając się wokół, Majiu dostrzegł, jak w trawie zwinnie znikają ludzie o długich i smukłych, podobnych do węży, ciałach. Gdy usłyszał łopotanie, uniósł wzrok i ujrzał nad sobą innych, jak przelatują mu nad głową, machając wielkimi skrzydłami.

Wszystkie te istoty określano wspólnym mianem „ludzi wiedzy”.

Rządzące Pięcioma Krainami bóstwa ziemi stworzyły bóstwa wiedzy, którym przekazały część swojej władzy. W swej mądrości nie zapomniały o nagrodzie dla ciężko pracujących podwładnych: raz do roku wystawiały dla nich w nagrodę ucztę.

Tym właśnie jest Święto Wina i Łuku.

Z biegiem dekad i stuleci bóstwa ziemi znikły z powierzchni Wuzhou. Schedę po bóstwach wiedzy przejęli zaś ludzie wiedzy. Mimo to zwyczaj uczy przetrwał aż do dziś.

Poyu przechadzała się znudzona po złotym stepie, aż znalazła miejsce, gdzie można było złapać przez chwilę oddech.

– Odpoczniemy tutaj.

Na dźwięk tych słów jej towarzysze opadli na trawę. Dopadło ich zmęczenie od nieustannego noszenia ciężkich bagaży na plecach. Gdy Majiu usiadł na ziemi, poczuł, jak końcówki trawy łaskoczą go w nos. W porównaniu z innymi ludźmi wiedzy ich ród był dużo mniejszej postury.

Gdy syn Poyu rozejrzał się wokół, zobaczył, jak zebrani pozornie bez ładu i składu ludzie wiedzy stworzyli olbrzymi okrąg.

– Po co oni to robią?

Niczym w odpowiedzi na wymruczane przez Majiu pytanie w utworzonej przez tłum przestrzeni zjawiał się samotny człowiek. W miejscu ust miał dziób przypominający do złudzenia dzioby drapieżnych ptaków, z pleców zaś wyrastały mu olbrzymie skrzydła. Co więcej, w obojgu jego złotych oczu znajdowały się po dwie źrenice*.

– Ta oto szanowna postać to pan Zhijing, wysłannik bóstw ziemi – rzekła Poyu na jego widok.

Każdy krok Zhijinga wzbudzał wybuch entuzjazmu wśród zgromadzonych. Gdy dotarł na środek kręgu trawy, stanął tam bez ruchu, a wszystkie rozmowy wokół naturalnie ucichły, jak gdyby pod wpływem jego autorytetu. Wówczas po Żółtej Równinie poniósł się jego donośny i dźwięczny głos:

– Szanowne klany i rody z czterech krain, składam wam wyrazy wdzięczności za przybycie z tak daleka. Bóstwa ziemi mówią: gdy wszyscy spotykają się w szacunku, w całym Wuzhou panuje pokój. Gdy ścierają się w walce na łuki, Pięć Krain żyje jeszcze pomyślniej. – Zhijing obrzucił wszystkich wokół spojrzeniem czterech źrenic. – Okazując szacunek bóstwom ziemi, otwieram Święto Wina i Łuku – ogłosił, po czym wzbił się w niebo i szeroko rozpostarłszy skrzydła, z głośnym rykiem zionął przed siebie płomieniem.

Tymi słowy rozpoczął Święto Wina: ucztę, która miała zacieśnić więzy przyjaźni i zażegnać waśnie pomiędzy ludźmi

*Podwójna źrenica w oku (*polycoria*) to mutacja, która faktycznie występuje u ludzi, choć jest ona niezwykle rzadka. W starożytnych Chinach podwójna źrenica, zwana także „ciężką źrenicą” (重瞳, jap. *chōdō*) była zwyczajowo kojarzona z arystokracją i uchodziła za błogosławieństwo i znak łaskawości od bogów.

wiedzy. Najważniejszym jej elementem było nalewanie sobie nawzajem różnych alkoholi.

Poyu wyciągnęła nabytą od Yujiego gorzałkę ze słowami: „Tylko się nie włóczcie zbyt!” i zniknęła w kręgu ludzi wiedzy.

Majiu i jego braciom przypadła w tej podróży rola tra-garzy, nie wzięli więc udziału w zakrapianej biesiadzie. Chłopcu jednak to nie przeszkadzało. Wpatrywał się tylko w przechadzających się po Huang Yang ludzi wiedzy z poczuciem, że znalazł się w zupełnie innym, nieznanym w górskich jamach świecie.

Po chwili do grupy wróciła zaczerwieniona na twarzy Poyu.

– Jak wasze samopoczucie? Znudziście się już wolnością? W jej oddechu wyraźnie było czuć alkohol.

Dzieci odwróciły oczy w zakłopotaniu, nie wiedząc, co właściwie ma na myśli. Tylko Majiu odwzajemnił spojrzenie staruchy.

Poyu odpowiedziała uniesieniem kącików ust.

– Majiu, spójrz na to.

Wskazała palcem na środek stepu. Krążyli tam skrzydlaci ludzie wiedzy, być może krewni Zhijinga. Stawiali na otwartej przestrzeni coś, co z daleka wyglądało jak słup. Na czubku miał przytwierdzoną kwadratową tablicę z namalowanym na środku czarnym kółkiem.

Majiu przyglądał się im, mrużąc oczy, gdy Poyu rzekła:

– Czarne koło na tablicy nazywa się „celem”. To do niego masz mierzyć. – Mocno pchnęła go w plecy.

Chłopiec zatoczył się w stronę szykowanej przestrzeni i chwiejnie wpadł w pusty krąg. Zdezorientowany i zaskoczony odwrócił się do staruchy. Ta jednak wysunęła tylko szczękę w stronę celu, jak gdyby każąc mu się pospieszyć.

Wydanego przez Poyu rozkazu nie można było nie wykonać. Z niepewnym wyrazem oczu Majiu podszedł do grupy ludzi wiedzy. Z okolicznych grupek wyszli też inni, zmierzając do słupów z celami. Byli to sami pięknie zbudowani, umięśnieni ludzie, nie tylko jednak wygląd różnił ich od syna staruchy z jamy.

Wszyscy zgromadzeni na polu trzymali w rękach łuki.

Jak wskazuje na to jego nazwa, Święto Wina i Łuku zawiera w sobie oba te elementy. Przestrzeń, na którą wszedł Majiu, to nie zwykły, pusty plac, lecz teren zawodów.

Po uczcie zawsze nastaje bowiem czas strzeleckiej rywalizacji. Plac ceremonii to miejsce, gdzie pogłębiano więzy łączące ludzi wiedzy, gdzie wybierano reprezentanta bóstw ziemi i zarazem przywódcę na następny rok.

W tamtych czasach znaczenie sztuki strzelania z łuku wykraczało poza kwestię poziomu czy umiejętności. W sam środek tarczy mógł strzelić tylko ktoś, kto kroczył drogą cnoty *ren**, niegodni władzy zawsze zaś pudłowali. Dlatego zwycięzca zawodów był najodpowiedniejszą osobą, by objąć władzę nad wszystkimi ludźmi wiedzy.

Do rywalizacji o ten zaszczyt podchodzili wyłącznie mistrzowie łuku, specjalnie wyznaczeni przez swoje rody na tę okazję. Majiu nic nie wiedział na temat ceremonii, nie mógł jednak nie zauważyć, jak bardzo nie pasuje do tego grona. Jeden z rywalizujących, o ciele w całości okrytym nabrzmiałymi mięśniami, pocierał gruby niczym kłoda łuk. Inny, którego czubki palców u rąk sięgały ziemi, niósł ze

**Ren* 仁 (jap. *jin*) to najważniejsza z pięciu cnót konfucjańskich, oznaczająca między innymi humanitaryzm, ludzkość, człowieczeństwo, dobroczynność. Przed czasami Konfucjusza rozumiano ją jako życzliwość władcy wobec poddanych, w późniejszych czasach nabrała bardziej uniwersalnego wymiaru.

sobą broń dłuższą niż on sam. W środku tłumu zaś widać było dostojną sylwetkę Zhijinga.

Jego osobliwe oczy, ciężkie od podwójnych źrenic, to oznaka monarszego splendoru. Sam fakt ich posiadania stanowił o jego przewadze i wskazywał, czemu to właśnie on dzierży władzę.

Nagle w powietrzu rozległ się metaliczny dźwięk.

Gdy Majiu spojrział w stronę jego źródła, zobaczył, jak skrzydlaty człowiek chwyta jedną ręką długi drewniany młot i uderza nim w zawieszony na sznurze miedziany dzwon. Na ten sygnał obdarzeni skrzydłami ludzie wiedzy chwycili za różne muzyczne instrumenty. Jeden począł wybijać rytm na bębnie, inny dmuchnął w *sheng**, wydobywając z niego melodię.

Słyszając to, zawodnik obdarzony długimi ramionami wystąpił naprzód, w kierunku celu. Dziеляca go od tarczy odległość wynosiła pięćdziesiąt kroków. Gdy zaczął napinać łuk do strzału, bęben gwałtownie przyspieszył, wygrywając szybkie, powtarzające się frazy. Jak gdyby w zgodzie z jego rytmem, długoręki człowiek wiedzy zwolnił cięciwę.

Pał, do którego przymocowano tarczę, wygiął się mocno do tyłu.

Gdy w końcu przestał się trząść, oczom zebranych ukazała się głęboko wbita w czarne kółko strzała. Długoręki łucznik opuścił broń i z usatysfakcjonowaną miną – której źródłem były radosne okrzyki tłumu – wrócił na poprzednio zajmowane miejsce. Muzyka się uspokoiła i nieco przycichła, a w tym czasie kolejny uczestnik zajął miejsce przed tarczą.

*笙, czyli chiński *sheng* oraz jego późniejsza, japońska wariacja *shō*, to aerofon stroikowy, rodzaj harmonijki o ustniku przypominającym zachodnią fajkę i kilkunastu (w Japonii jest ich równo siedemnaście) rurek-piszczalek ze stroikami. W Chinach piszczałki wykonywane były z trzciny, w Japonii zaś – z bambusa.

Przypatrując się przebiegowi ceremonii, wkrótce i Majiu pojął jej zasady: kolejni rywale podchodzą do celu i oddają strzały. Towarzysząca im muzyka dopasowuje się do tego, co dzieje się w danej chwili. Kto trafi w cel, zostaje na polu łuczniczym, kto zaś spudłuje, znika w tłumie obserwujących. Po zakończeniu pierwszej rundy uczestniczący w niej zawodnicy ustawiają się w większej odległości od tarczy i kontynuują rywalizację.

Tymczasem pierwsza runda prawie się zakończyła – pozostali tylko Majiu i Zhijing. Syn Poyu nie wiedział, co począć. Jak ma trafić w cel, jeśli nawet nie ma łuku? Widząc zrezygnowanie chłopca, Zhijing wyszedł naprzód.

Wśród publiczności rozległ się szmer. Zgodnie z tradycją reprezentant bóstw ziemi powinien bowiem wystąpić ostatni.

Zhijing oddał strzał w mgnieniu oka.

Strzała zniknęła z jego prawej ręki, nim ktokolwiek zdołał dostrzec, jak zakłada ją na cięciwę. Choć trafiła w sam środek celu, podtrzymujący tarczę słup nawet nie drgnął.

Na widok tak nadludzkiego pokazu umiejętności publiczność zareagowała ogłuszającym krzykiem.

Na Majiu również zrobił on niezwykle wrażenie. Upojenie atmosferą sprawiło, że wyrwało mu się:

– I co ja mam teraz zrobić?

Jak gdyby ponaglając go do działania, muzyczny akompaniament przybrał na sile. Syn Poyu już zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej będzie stąd uciec, gdy nagle usłyszał:

– Weź to, chłopcze.

Z tymi słowy Zhijing podał mu swój własny łuk.

Majiu wyciągnął niepewnie dłonie w jego stronę, by w końcu pochwycić broń.

Zhijing skinął głową, jak gdyby z aprobatą, i rzekł coś, co mogło być radą:

– Wyteż wolę w należytą stronę i ustaw odpowiednio ciało, a pierwszy raz dosięgniesz tarczy. Zbytne skupienie na strzale tylko ją wykrzywi. Należy myśleć o łuku, a nie o celu.

Majiu spróbował przygotować łuk, przywołując w myśl strzał Zhijinga. Gdy spojrział w stronę tarczy, z jakiegoś powodu wydała mu się zamglona, jakby nagle się od niego oddaliła. Pośpiesznie spróbował napiąć cięciwę, ta jednak okazała się twarda niczym stal i za nic nie chciała się poruszyć.

Powszechna praktyka w łucznictwie tamtych czasów to napinanie łuku poprzez ciągnięcie cięciwy kciukiem. Do ochrony kciuka często używano pierścieni, naturalnie jednak Majiu nie był przygotowany na taką ewentualność. Napiął łuk, polegając wyłącznie na swej sile, przez co nawoskowany, cienki lniany sznurek wrzynał mu się w rękę, powodując ostry ból.

Na widok niezdarnej techniki Majiu publiczność zareagowała stłumionym śmiechem. Chłopiec to usłyszał i zdał sobie sprawę, że się czerwieni – nie wiedział tylko, czy od wysiłku czy od skrępowania.

Majiu strzelił.

Choć bliżej prawdy byłoby rzec, że jego prawa ręka nie wytrzymała napięcia cięciwy. Strzała nawet nie zbliżyła się do celu, zamiast tego spadła smutno na ziemię u jego stóp.

Tym razem publiczność nie zareagowała brawami. Wybuchła za to ogłuszającym śmiechem.

Majiu, którego udział w ceremonii łuku dobiegł końca, leżał ukryty w trawie i wpatrywał się w niebo.

– Dziwne...

Od kiedy wyruszył z rodzinnych jam, nic tylko widział rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział, i poznawał

rzeczy, których nigdy wcześniej nie poznał. Nawet kolor nieba o zmierzchu wydawał się tu o wiele intensywniejszy niż w jego rodzimym Xuan. Ten świat był przepełniony nowością.

Mówiąc „dziwne”, miał na myśli reakcję Poyu. Choć się okazało, że nie tylko nie trafił w cel, lecz nawet nie umiał posłać prosto strzały, starucha przywitała chłopca szerokim na całą twarz uśmiechem.

– No proszę, dobrze żeś się spisał. Miałam rację, że postawiłam na ciebie.

Być może Poyu wcale nie liczyła na zwycięstwo. Nie wierzyła nawet przez chwilę, że ktokolwiek z jej rodu o nędznych ciałach miał choć cień szansy na to, by stać się reprezentantem bóstw. Celowo wybrała kogoś tak niedoświadczonego jak Majiu. Posłała go na pośmiewisko.

Choć jednak chłopiec odgadł jej intencję, nie był nawet w stanie się na nią obrazić. Wszystkie myśli poświęcił lucznictwu.

W tym roku również to Zhijing trafił z największej odległości. Czemuż właśnie on był lepszy od całej reszty ludzi wiedzy? Choć obaj używali tego samego łuku, Zhijing trafił prosto do celu, podczas gdy Majiu nie miał nawet siły oddać strzału. To nie mogła być kwestia wyłącznie siły mięśni. Gdyby chodziło o siłę, muskularni zawodnicy pokonaliby ciężkookiego, tymczasem nie stanowili dla niego żadnej konkurencji.

Majiu wpatrywał się w swoją rękę. Naciągając na siłę cięciwę, rozorał sobie do krwi zgięcie kciuka.

„Wyteż wolę w należytą stronę i ustaw odpowiednio ciało, a pierwszy raz dosięgniesz tarczy”.

Powtórzył sobie w głowie słowa Zhijinga. Znaczyły one tyle: pierwszy raz trafi się do celu, gdy osiągnie się odpowiedni stan ciała i umysłu do władania łukiem.

Jeśli była to prawda, to...

– Musiałem się do tego źle zabrać, nie? – zamruczał chłopiec, wzdychając.

A wtedy nad głową leżącego Majju rozbrzmiała odpowiedź:

– Wcale nie.

Syn Poyu zerwał się na nogi.

Nawet nie zauważył, jak koło niego stanęła dziewczyna. Odziana wyłącznie w prostą, lnianą suknię, o ciele niezdradzającym żadnych oznak osobliwości. Lecz jej spojrzenie, skierowane prosto na chłopca spod krótko obciętej grzywki, wywarło na nim większe wrażenie niż widok któregośkolwiek z ludzi wiedzy.

– Uwierz w siebie – powiedziała głośno i wyraźnie. – Według mnie twój strzał był najlepszy ze wszystkich.

Majju poczuł, jak traci nad sobą panowanie.

– Na pewno wiesz, co widziałeś? Moja strzała nawet nie poleciała przed siebie.

– Wcale tak nie było – odparła dziewczyna poważnie.

Chłopcu przyszło na myśl, że robi sobie z niego żarty, nic w jej spojrzeniu nie wskazywało jednak na to, by miała się roześmiać.

– Czemu tak sądzisz?

– Bo wielu ludzi było w stanie trafić w małą tarczę, ale tylko ty posłałeś strzał w wielką ziemię – rzekła, po czym skierowała wzrok na rozciągający się po horyzont step. – Skoro oni dowiedli swej umiejętności strzelania do celu, ty powinieneś być dumny ze swojej.

Majju spojrział w tym samym kierunku, co ona. Światło zachodzącego słońca padało na trawy lalang, podkreślając jeszcze bardziej ich złotą barwę. Wpatrując się w ten

krajobraz, poczuł, jak rozplywa się nieprzyjemny ucisk, który czuł wcześniej w piersi.

– Nigdy wcześniej nie strzelałem z łuku. Następnym razem powinno mi pójść jeszcze lepiej.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się lekkie zaskoczenie.

– Jeśli trafisz jeszcze wspanialszy cel niż ta oto ziemia, chętnie to zobaczę – odparła z beztroskim uśmiechem.

Kwiat.

To właśnie widział przed sobą Majiu.

Pojedynczy, barwny kwiat, co rozkwitł na polu zwiędłych traw. Nie wiedząc, skąd się wzięło to wrażenie, chłopiec wymamrotał:

– Ale najpierw muszę nauczyć się trafiać w tarczę.

Wtedy właśnie w głębi duszy powziął postanowienie – następnym razem odda przed dziewczyną najwspanialszy strzał.

Zamienili ze sobą zaledwie parę słów i nawet sobie się nie przedstawili.

A jednak to spotkanie odmieniło nie tylko ich losy, ale też zmieniło całą historię Wuzhou.